

Wraithskin

Powoli, z wysiłkiem, zamknąłem księgę. Ile czasu spędziłem pracując w ciszy przerywanej jedynie szelestem grubych stron? Nie wiedziałem – w każdym razie słońce już schyliło się ku zachodowi, rzucając długie, niepokojące cienie na ściany pokoju. Westchnąłem i uczyniłem kilka niepewnych kroków na boleśnie zastałych nogach. Przeklęta słabość. Sięgnąłem po kostur stojący przy stole. Jego twarde, dębowe drzewo dawało mi oparcie. Udało mi się dotrzeć do okna, choć przejście tych kilku metrów zabrało mi wiele sił. W końcu z ulgą oparłem się o kamienny parapet i otworzyłem wysokie okno. Fala świeżego, zimnego powietrza wtargnęła do pokoju. Wciągnąłem ożywczy strumień głęboko do płuc, licząc, że jego wilgotny chłód przyniesie mi orzeźwienie.

Końcem laski przysunąłem drewniany stołek i, czepiając się ściany, jak wielki, stary pajak, osunąłem się na niego. Palce nieomylnie odnajdywały znajome rysy w ścianach. Tyle razy zawierzałem ciężar mego ciała ich poranionym brzegom, że moje palce pokryły się bliznami i stwardniały. Ale błogosławione nierówności pozwalały choć na chwilę ulżyć nogom, przeszywanym gorącym gwoździem bólu. Z cichym jękiem pozwoliłem, aby moje ciało spoczęło na drewnianym zydlu. Moje kolana w końcu doznały ulgi. Zgiąłem je powoli, pokonując ich ciężki, bierny opór, choć wiedziałem, że gdy przyjdzie mi wstać, zapłacę za to kolejną porcją cierpienia.

Wyjrzałem przez okno. Gdzieś tam, daleko, na świecie żyli ludzie, którzy nie mieli pojęcia co czuje człowiek, gdy jego własne członki odmawiają posłuszeństwa rozkazom woli. Panoszyli się we własnych ciałach, kompletnie nie doceniając cudu, jakim jest przejście kilku kroków bez wysiłku, rozprostowanie zgiętych pleców, utrzymanie równowagi bez pomocy drewnianej laski. Zacisnąłem usta w bezsilnym gniewie i po raz kolejny z nienawiścią spojrzałem na przekłętą słabością, starzejące się ciało. Czułem wręcz, jak rozszerza się we mnie ta skaza, która naznaczyła moje istnienie już w chwili gdy wykrzychałem w zimny nowy świat swoje pierwsze rozczarowanie... Była jak pęknięcie w korze drzewa, które z każdą zimą rozszerza swoją czarną paszczę, by w końcu otworzyć serce pnia na igły mrozu. By zanieść na ich białych saniach zwiastuny upadku, który powala nawet największe dęby w puszczy.

To nieprawda, że drzewo umiera stojąc. Drzewo pada z wysiłkiem, do końca rozpaczliwie czepiając się pękającymi korzeniami ziemi, która dała mu początek. Przewraca się, na chwilę jedynie rozdzierając ciszę lasu. Odchodzi w samotności, wśród obojętnego istnienia pobratymców, chciwie czekających na chwilę, w której będą mogli wczepić się gałęziami w pustą przestrzeń po umarłym, dźwigając się ku nieczułemu słońcu.

Siedząc zatopiony w gorzkich rozmyślaniach, czułem jak słabość w moim ciele podstępnie i nieuchronnie pochłania coraz większe części mojego jestestwa, jak zdobywa i niszczy nowe tereny, jak wypala ostatki sił w moim ciele. W milczeniu i w nienawiści do własnego ciała, czekałem na nadejście bólu.

Ból.

Ból w moim ciele był jak dobry znajomy, jak nieodłączny towarzysz egzystencji. Jak zawsze, skradał się cicho i podstępnie wraz z nadejściem zmroku, przypominając o sobie, gdy tylko chłodny wieczór tłumiał krzątanie dnia. Moje żałosne ciało, strzaskane i pokręcone, głuchło wówczas na nakazy woli, jakby niepomne przykazanego mu posłuszeństwa. Zamiast wykonywać to, czego po nim oczekiwałem, otwierało szeroko swe podwoje na tępy, wszechogarniający ogień przelewający się w jego wnętrzu. Skaza w moim ciele przyciągała ból jak świeża, ciepła krew przyciąga wilcze stado.

Ból towarzyszył mi już od tak długich lat, że przestałem je liczyć. Stał mi się bliski i wierny jak kochanka, która przychodzi wraz z ostatnimi promieniami gasnącego słońca. Zwykle oznajmiał swą wizytę pojawieniem się delikatnego ucisku w nogach. Uczucie to stopniowo tężało, nasilało się i rosło we mnie. Całe ciało uświadamiało sobie to wrażenie, gdzieś poza granicami świadomej mojej percepcji - zanim poczuła je moja świadoma wola. Mięśnie napinały się, w płochliwym przeczuciu nadejścia bólu. Gdy mrok na dworze roztopiał w sobie długie cienie, czułem już, jak moje członki stają się ciężkie, jak przepelnia je dziwna ociążałość.

Potem, wraz z pogłębianiem się cieni, ociążałość stawała się coraz bardziej namacalna, jakby poczwara jakaś, która wychynęła z ciemności i podnosiła swój ohydny łeb. Wtedy mój niepokój, obawa przed nieuchronnym cierpieniem, goszcząca dotychczas na krawędzi świadomości stawała się coraz bardziej namacalna. Jeszcze próbowałem poruszać nogami, sprawdzając, czy niemoc już przyszła, czy jeszcze zachowałem resztki władzy nad członkami. Co chwila poprawiałem pozycję, obłąkańczo skupiając się na analizie własnych doznań. Własnej ograniczoności. Czy już nie mogę ugiąć kolana? A może to po prostu zdrętwienie? Czy ta ociążałość, która powoli wsącza się w moje ciało z każdą minutą wieczoru to realny zwiastun koszmaru, czy też zmęczenie napiętych do ostatka nerwów? A może to kara za niekończącą się gonitwę rozpaczliwych myśli? Wówczas stopniowo jednak zaczynała się wszechogarniająca słabość, przechodząca w coraz mocniejsze wrażenie bólu.

Ból. Gdybyż jeszcze był on ostry jak rana zadana nożem czy sztyletem... Mógłbym wówczas skupić się na nim, zlokalizować go i zmusić umysł do odrzucenia jego odczuwania. Nie... mój ból był podstępny złodziej, skradał się tuż poza zasięgiem percepcji – udawał, że nie istnieje, kluczył i chował się, aż do chwili kiedy gotów byłem uwierzyć w to, że go nie ma. Wówczas rozluźniałem członki i z delikatną, nieśmiałą nadzieją wypatrywałem ulgi w cierpieniu. Wtedy nadchodził, pojawiał się i przypominał o swojej obecności. Na tyle silny, żeby przyciągnąć uwagę; na tyle delikatny, żeby nie dało się go zlokalizować. Wędrował po ciele, przelewał się z jednego miejsca w drugie, ciężkim oleistym ruchem. Wystarczyło na chwilę skoncentrować na nim uwagę, aby zniknął, ale wracał natychmiast, gdy tylko próbowałem myśleć o czymś innym.

Moja walka trwała długie godziny, przeradzając się w upiorną zabawę w chowanego z własnym ciałem. Nie pomagało nawet, gdy powoli i ostrożnie kładłem się na łożu wymoszczonym miękkimi futrami. Gdy tylko ułożyłem przekłętą słabością członki w odpowiedniej pozycji, wracał i natrętnie przypominał o swoim istnieniu. Czasem

pomagało, gdy wyrzucałem z siebie udręczony jęk, jakbym w wydawanym dźwięku mógł zawrzeć jego część, usuwając je poza swoje ciało. Jednak ulga była zwodnicza, chwilowa, jak ułudą iluzji. Ból powracał, gryzącym zapachem przeganiając sen.

Wiele nocy spędziłem, zagryzając do krwi palce zaciśnięte w krwawe pięści. Wiele bezsennych chwil spędziłem patrząc w zimne i samotne oblicze księżycy – mego jedyne go towarzysza niedoli. W końcu lekki, płochliwy sen nadchodził i zmęczenie brało górę nad bólem. Przychodzący ranek nie przynosił jednak ulgi. Udręczone ciało poruszało się opornie, sztywniejące kończyny nie dawały oparcia. Bywały dni, kiedy pół godziny zajmowało mi dotarcie do miski z wodą stojącą w pokoju. Przeklinałem wówczas los i wyroki nieczułych bogów, ślinałem się w bezsilnym poczuciu niesprawiedliwości. Echem wracały okrzyki towarzyszy mojej młodości, które wpadały przez okno malutkiej, klasztornej celi, która była moim światem dziecięcym. Och, jakże ja wówczas ich nienawidziłem. Każda ich zabawa była dla mnie torturą, każdy wybuch śmiechu – szyderstwem rzuconym mi prosto w twarz.

Gdy byłem jeszcze młody, często przez okna widziałem maszerujących żołnierzy. Choć trudno było mi się do tego przyznać, podziwiałem ich za hart, za ich siłę i skrycie zazdrościłem im mocarnych ciał. Jakże wspaniali wydawali mi się, gdy w jechali dumnie główną ulicą miasta, spoglądając z niebotycznej wysokości bojowych rumaków... Jakże przeklinałem swoją niezdarność, która sprawiała, że trudno było mi dosięść nawet najspokojniejszej mulicy.

Och, wiedziałem, że wielu z nich ginie w okrutnych cierpieniach na polu walki, wijąc się w mękach wypruwanych wnętrzości, odcinanych członków, ciał przeszytych stalą. Lecz mimo to widziałem w takiej śmierci rys bohaterstwa i chwały. Wielkości. Marzyłem po dziecięcemu, aby odejść z tego świata w wirze wielkiej bitwy, w pełnej patosu, szybkiej śmierci, godnej tego, by opiewali ją minstrele. Prosiłem bogów, aby zesłali na mnie taki koniec. A oni jak zwykle pozostawali głusi. Zamiast tego obdarzyli mnie przeklętą skazą, ziejącą wyrwą w ludzkiej powłoce, która i bez takiej klątwy sama w sobie jest tak żałośnie niedoskonała.

Trzeba było długich lat wypełnionych gorzkim doświadczeniem, żebym przekonał się, że w szybkiej śmierci nie ma żadnej szlachetnej wielkości. Jest prosta i łatwa. Szybkie cięcie miecza, świst strzały – i nadchodzi koniec. Czarna noc zamyka się nad tobą, a ostatnia bitwa odchodzi do legend. A potem, wraz z każdym upływającym dniem, rozumiałem coraz więcej. Dopiero jako dojrzały człowiek zauważyłem kryjących się po ciemnych kątach ciasnych ulic weteranów. Szarych, zapomnianych ludzi, wyciągających wychudłe dłonie po drobnego miedziaka, rozpluwających się w zaślinionych, bezzębnych podziękowaniach. Samotnie ciągnących beznogie i bezrękie ciała przez płynące ulicami ścieki. Topiących resztki człowieczeństwa w najgorszych alkoholach świata, w ciemnych zakamarkach miasta.

Wyrzutki społeczeństwa, odpadki i śmieci ludzkości, egzystowali dzień po dniu w cieniu, jakby poza jasnym kręgiem tego, co chciały dostrzec ludzkie oczy. Ich rany gorzały za

dnia i w nocy, napętniając ich żalną wegetację codzienną dawką cierpienia o stu twarzach. Pękające wrzody, gnijące członki, targane chorobliwymi skurczami trzewia – oto była ich codzienna walka. Kryli się z nią, jakby uciekali przed własnym wspomnieniem czasów, gdy ich ciała były prężne, a jasno spoglądające oczy mierzyły świat ilością zdobytej bitewnej sławy. Lecz nawet wtedy nie czułem dla nich litości. Więcej – w skrytości serca, targanego własnym bólem, czułem głęboką satysfakcję. Oto oni zazdrościli mi mego ciała, pełną prawdziwej szczerości zawiścią, jaką tylko ślepiec potrafi odczuwać w stosunku do jednookiego.

Och, ja nie zmarnowałem swego życia na czcze wojenki, na pustą i bezcelową pogoń za przemijającą sławą. Moje życie miało sens – o tym byłem przekonany. Wiele lat spędziłem na poszukiwaniu remedium na moje cierpienie. Studiowałem u najlepszych lekarzy, podpatrywałem ich wiedzę, kradłem ich doświadczenie. Ale żaden z nich nie znał lekarstwa na moją chorobę.

Potem, gdy odkryłem Sztukę – nie było takiego *grimorie*, którego nie przeczytałbym z drapieżną, rozpaczliwą nadzieją. Żaden paladyn nie dążył bardziej do spełnienia swej misji niż ja, który poszukiwałem ulgi w moim cierpieniu. Nie było zakazu którego nie wahałbym się złamać, bluźnierstwa, którego nie odważyłbym się wypowiedzieć, byle tylko zrealizować swój cel.

Drażąc i poszukując, hartowałem nieświadomie swój umysł. Gdy inni trawili czas na płochy zabawie, ja rozmawiałem z najmądrszymi uczonymi, lekarzami, magami. W ciele, tak miałym i słabym, ćwiczyłem jedyną radość mojego życia – świątły rozum. Dzięki niemu ogarniałem coraz większą wiedzę, ale też i pragnąłem coraz więcej. Chorobliwa ambicja poznania trawiła mnie wciąż głębiej i głębiej – a wewnętrzny ogień rozgrzewał słabe członki.

Moje poszukiwanie było jednym, wielkim zmaganiem z własną słabością. Kruche ciało wzbraniało się przed wysiłkiem, wypalając nerwy falami ciągłego bólu. Najgorsza jednak była świadomość, że każdy dzień stracony na próbie zapanowania nad własną ułomnością był dniem straconym. Ku własnemu przerażeniu odkryłem także, że z każdym kolejnym rokiem tracę coraz więcej sił duchowych. Umysł – jedyna rzecz z której mogłem być dumny, której nie poskąpili mi bogowie – on także zaczął odczuwać upływ czasu.

Gdzieś w moim wnętrzu nadal gorzał płomień ambicji, popychający mnie do działania, lecz wola słabła i mętniała, jakby kolejne lata stopniowo pętały ją, jak żywica więzi komara w stygnącej kropli. Ten jeszcze szamoce się w panice, próbując uwolnić delikatne skrzydełka, lecz jego los jest przypieczętowany. Tak samo czułem się ja, gdy wieczorem znużony umysł odmawiał chęci do podejmowania wysiłku, gdy ulotne wersy zaklęcia złośliwie chowały się w zakamarkach pamięci, gdy zamiast radości z odkrywania tego, co było zakryte przed wzrokiem innych ludzi, czułem jedynie zmęczenie i chęć udania się na spoczynek. Byłem wówczas jak osaczony przez wrogów żołnierz, zmuszony do szaleńczej walki z przeważającymi siłami: ułomnym ciałem, stygnącym umysłem, wypaloną duszą i wszechogarniającym Czasem. Lecz mimo to – zwyciężyłem.

Oto leżał przede mną wynik długoletnich poszukiwań. Czarna jak noc, przeklęta zbroja, która miała się stać moim więzieniem i wybawieniem. Stworzenie jej wymagało otwarcia bram, przed którymi wielu wzdragałoby się nawet stanąć. Lecz ja otwierałem je świadomie, przekraczałem ich przeklęte podwoje i szukałem odpowiedzi wśród okropieństw, które znajdowały się po drugiej stronie.

Przez długie lata moje ciało wygrywało ze mną. Ograniczało mnie, z każdym dniem uświadamiając mi moją śmiertelność, moją niedoskonałość, moje przeznaczenie. Z gorzką, płonąącą wściekłością czułem, jak wiele mógłbym osiągnąć, gdyby nie to, że własna słabość ściągała mnie w dół, drwiąc z moich wysiłków, przekręcając je na swój pokraczny sposób, upadlając i niszcząc. Lecz oto poznałem sposób na pokonanie ostatniej granicy. Oto na stole, pośród niepotrzebnych już ksiąg leżał *Wraithskin*, mój Triumf i moja Nagroda.

Wstałem, podpierając się dębowym kosturem i wczepiając w nierówności zimnej, kamiennej ściany. Długie minuty zajęło mi prostowanie mego zmęczonego ciała, ale duszę przepęniało mi poczucie mocy i słodkiego zwycięstwa. Przewyciężyłem wyjący ból, który już mnie przepęniał. Czyżby miał świadomość zbliżającego się końca? „Cierp, mój stary wrogu” – pomyślałem mściwie – „Oto nadeszła godzina zapłaty”. Powoli, niczym szkaradny, olbrzymi ślimak przesunąłem się do stołu.

Wyciągnąłem rękę w kierunku leżącej zbroi. Gdy tylko moje palce spoczęły na niej, przeszył mnie zniewalający ból. Mimo to nie cofnąłem ręki, choć gorzała, jakbym włożył ją pomiędzy rozpalone węgle. Ten ból był moją świadomą decyzją, ukoronowaniem mojego dzieła, mym własnym wyborem – a nie odruchem ułomnego ciała, które napęniało się bólem tylko dlatego, że było naznaczone skazą. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zatęsknię do mojej ułomności, gdy moje martwe ciało przestanie cokolwiek odczuwać. Cóż, będę miał długie lata na poszukiwanie odpowiedzi. Cofnąłem rękę. Ból ustąpił natychmiast, gdy tylko żywe ciało przestało dotykać przeklętej powierzchni *Wraithskina*. Uśmiechnąłem się gorzko, starając się zapamiętać, wyryć w pamięci wrażenie, którego miałem już nigdy nie poczuć. Przywołałem wszystkie doznania i emocje, które towarzyszyły mi przez całe życie. Spojrzałem na nie chłodno, bez żalu, po raz ostatni przyglądając się im znad granicy, którą miałem przekroczyć.

W końcu wzruszyłem ramionami i powtórnie sięgnąłem ku leżącej na stole zbroi. Uniosłem ją powoli w górę, choć moje ręce ponownie trawił Ogień i Mróz. Przez chwilę zawahałem się, lecz siłą woli zdusiłem lodowaty lęk, który przeszył mnie w tej decydującej chwili – i pewnym ruchem założyłem przeklęty pancerz.

Ból był nie do zniesienia. W jednej chwili poczułem, jakby moje ciało zanurzono w płynnej lawie i wystawiono na działanie lodowatego wichru. Gdy tylko okowy zbroi zamknęły się na mojej piersi, natychmiast ze stalowych płyt wystrzeliły ku wnętrzu ostre wypustki, wbijając się w moje ciało i drżąc je żarłocznie w poszukiwaniu życiodajnej krwi. Powietrze przeszył mój skowyt, nieludzki wrzask obwieszczający Koniec i Początek. Moje dłonie zacisnęły się konwulsyjnie, a ja poczułem jakbym osuwał się gdzieś w czarną, bezdenną głębię, z której wysuwały się szponiaste dłonie, gotowe rozszarpać na wpół

żywe ciało. Zebrałem całą siłę woli, aby spomiędzy zaciśniętych do krwi warg wyrzucić ostatnie zaklęcia.

Krew wypływała coraz wolniej, choć nienasycony pancerz wysysał ją z siłą pragnienia, którego nigdy nie można zaspokoić. Wraz z jej ucieczką, czułem, jak zachodzi we mnie zmiana. Wszelkie doznania, wrażenia, wspomnienia – rozpląwały się w nicości... Ból, towarzyszący mi przez całe życie, nagle stał się jedynie bezcielesnym słowem, którego znaczenie coraz trudniej było przywołać w pamięci. Zimno wieczoru, gorąco palącego południe słońca, zapach trawy, czy świeżość wiatru odeszły, jakby ich w ogóle nie było. Zmęczenie przestało dla mnie istnieć, a mój umysł – gdy opadły z niego kajdany długich lat – odzyskał dawną świeżość. Miałem wrażenie, jakby Czas się zatrzymał w swoim biegu. „Pokonałem cię, stary przyjacielu” – pomyślałem mściwie.

Rozejrzałem się wokoło. Pokój jakby pociemniał, głębokie cienie wypełniły zakamarki, wysuwając drapieżne pazury z mrocznych szczelin. Mimo to otaczające mnie ściany ukazywały mi się jasno, z niedoścignioną, krystaliczną wręcz wyrazistością. Na nowo odkrywałem każde załamanie kamienia, każdy strzęp mchu na powale, każde pęknięcie na ścianie – a przecież zawsze wydawało mi się, że to pomieszczenie, które było mym domem jest mi tak dobrze znane. Niby czerwony płomień rozbłysnął mi zabłąkany gdzieś na wysokiej krokwi szczur. Czułem szaleńczo przyspieszone uderzenia jego małego serca, które przerażenie ścisnęło mroźną, kościstą dłońią. Rozumiałem ów strach, choć nie potrafiłbym już powiedzieć, na czym polega to uczucie. Wiedziałem jednak, że to ja stałem się jego przyczyną.

Bez wysiłku podniosłem się i jeszcze do końca nie wierząc, że można obyć się bez bólu, zrobiłem kilka kroków. Czułem, jak moje ciało przenika i wypełnia nieznaną dotychczas moc. Roześmiałem się, szczęśliwy, choć mój śmiech wibrował nieludzkim wyciem, które ścinało lodowym echem życie i zabijało wszelką nadzieję.

Skaza została usunięta. Byłem wreszcie sobą.



Wojciech St. Mościbrodzki,

styczeń 2007